

Ks. Paweł Smolikowski CR

Ostatnie chwile i śmierć X. Kajsiewicza

Fragment *Historii Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*,
mszp (t. 2 A), rozdział XXIV;
Biblioteka Główna Zmartwychwstańców, Kraków.

Wyszukał i opracował: Wojciech Mleczo CR (2003)

[s. 659-]

Dnia 8 listopada (1872) powrócił X. Kajsiewicz do Rzymu, gdzie się serdecznie z X. Semenenką przywitał. Był z nim wtedy jak najlepiej. Jeden drugiego kierował duszą.

(...)

X. Kajsiewicz miał tę pociechę, że zastał w Rzymie list pochwalny, jaki po raz drugi już Ś. Kongregacja de Propaganda Fide, wystosowała była do niego, za trudy podejmowane przez członków Zgromadzenia na Misji bułgarskiej. (...)

Zdawało się też, że w Bułgarii po wizycie X. Kajsiewicza będzie coraz lepiej. Porządek zakonny, jak wszędzie, tak i tam zaczął się ustalać. „Widać – pisze X. Brzeska do X. Kajsiewicza (30 stycznia 1873) – że do naszej Reguły P. Jezus nowe przywiązał łąski, bo nam tu dziwnie P. Jezus błogosławi: wszyscy się biorą na serio do zachowywania Reguły, porządku domowego i szkolnego, nawet i najslabsi. Posłuszeństwo wszystkich doskonałe, tak że się muszę w radości upokarzać przed P. Jezusem”.

Cieszył się z tego X. Kajsiewicz nie po mału także i pisał do X. Przewłockeigo (15 lutego 1873): „Ufajmy! wyraźnie Bóg w duszach naszych pracuje. O. Tomasz nie może się nacieszyć, że jego podwładni tak dobrze stanęli. Wiemci, że to „dobrze” jest tylko względne, ale zawsze postęp ku lepszemu”.

I z Ameryki przychodziły lepsze wiadomości.

(...)

Przed śmiercią X. Kajsiewicza zdawały się ustępować trudności wszystkie; nie żeby już żadnych nie było nieprzyjemności. Były i one.

(...)

X. Kajsiewicz przeznaczył był X. Kalinkę na Wicerektora Kolegium Polskiego. X. Kalinka od tego się wymawiał. Klimat rzymski mu nie służył, a głównie obawiał się że nie mając pod ręką biblioteki z rzeczami polskimi, nie będzie mógł pracować nad swoim „Sejmem czteroletnim”. W Krakowie miał wszelką pomoc i w książkach, w rękopisach

i w uczonych. Mieszkał też u Wizytek w Krakowie, kapelanował tam i spokojnie pracował nad historią.

Napisał mu tedy X. Kajsiewicz gorzki list z wymówkami, tłumacząc mu, że nie ma na razie kogo innego na to miejsce, a zakończył temi słowami: „Ale postrzegam się, że motywuję moje postanowienie, a Ty słusznie potępiasz to jako wadę polską, więc ograniczam się do powiedzenia po prostu: będziesz Wicerektorem” (4 grudnia 1872).

Odpisał zaraz (12 grudnia): „Żaden mi jeszcze list Kochanego Ojca nie był tak przyjemny jak ostatni jego z burą, a właśnie dla tej bury. Ujął mnie szczególnie rozkaz Ojca stanowczy i wyraźny, który z sumienia mego zdejmuje wszelką odpowiedzialność, a tem samem uwalnia mnie od niepokoju. Proszę Ojca, niech ojciec kochany zawsze ze mną tak postępuje: łaja mnie i porządnie, kiedy na to zasługuję, a zasługuję zawsze, i niech drogi Ojciec wcale nie oszczędza mojej miłości własnej. Bo choć mam jej tyle, że aż nią cuchnę i więcej jej mieć nie można, to jednak Pan Bóg łaskawy nie pozwala jej we mnie tak się rowielmożyć, żeby aż są mój zagłuszyła i wolę moją na długo skrzywiła. Jak obowiązek zabębni, gotów jestem, za łaską Bożą, rzucić wszystko i stanąć do szeregu. (...)”.

[s. 678-]

„Umiłowawszy to Zgromadzenie – pisze Bronisław Zalewski – X. Kajsiewicz całą swą pieczę i wszystkie siły swoje do końca jemu poświęcił...” Z największą gorliwością zajmował się nowicjatem zakonnym, swoją młodzieżą, jak ją nazywał. Czcił go i kochali jak ojca; na potwierdzenie czego, przytoczymy tutaj wyrazy jednego z nich. X. Eustachy Skrochowski opisując postać jego, mówi on: „Nie raz gdym go zdybał na ulicy i patrzył nań, mówiłem sobie, że i w Rzymie trudno o piękniejszą postać. Chodził zazwyczaj sam, powoli i poważnie, a jakoś dziwnie potężnie; zdawało się, że gdyby szedł wprost, mury by rozwalał i wszystkie przeszkody usuwałyby mu się same z drogi. Twarz miał pogodną, oczy otwarte, niby patrzył na świat, a widać było, że duszą gdzieś daleko za światem. Kilka razy uważałem, że gdym się zbliżył do niego na ulicy, lekko zadrżał, jak gdyby wyrwany z zamyślenia: nie miał jednak wyrazu niechęci, jak mają zwykle od marzeń własnych oderwani, ale w tej samej chwili przyjaźnie się uśmiechał. W tych czasach także zbyt krótko już był krótki w tem co do nas mówił; tłumacząc nam Regułę, przechodził ją prędko i sam się oskarżał nieraz, że nie dość obszernie i jasno to czyni, ale zapewniał, że nie umie inaczej. Jemu to wszystko tak było jasne, że już nie wiedział czego potrzebujemy. We wszystkim był nam prawdziwym ojcem, drzwi i serce zawsze otwarte i zawsze też sama gotowość na przyjęcie każdego z braci, choćby wśród najważniejszego zajęcia.”

Ale i surowym być umiał, czasem nawet ostro złażał, a złażany tak od razu widział słuszność słów Ojca, i słuszność kary, choć może ze wszystkich najboleśniej, że nikomu nie przyszło na myśl spierać się. On sam nieraz sobie wyrzucał prędkość, nawet przed nami nieraz się z tego oskarżał, ale że i w takich razach nie szukał siebie, ale chwały Boga, więc nikt się na to nie użalał.

Młodym Polakom nie brak pewnego zarozumienia, ale wobec Ojca każdemu mina rządziła, i czuł się bardzo malutkim. W najtrudniejszych przejściach i pokusach nie odszedł nikt od niego bez pociechy i sąd miał bardzo bystry i prędko, zdawało się, że patrzył w duszę i

czytał w sercu, więc i o słowo pociechy nie było mu trudno, ale wielką też musiał mieć łaskę Bożą, bo czasem nic nie powiedział, ale tylko przeżegnał i odesłał, a lżej się zrobiło na sercu.

W życiu codziennym, zachowywaniu reguły i przepisów domowych, był nam zawsze przykładem; nigdy nie chciał dla siebie wyjątków, choć kuchnia domowa nieraz mu szkodziła, a najczęściej porcje nie były wystarczające; apetyt bowiem miał jeszcze dawny „staropolski”.

Wstawał zawsze razem z nami, choć nieraz późno w noc pracował lub się modlił, a nawet często gdy go przychodzono budzić, już klęczał przy modlitwie. Jeden fakt wystarczy, by dać pojęcie jego ścisłości zakonnej w tych drobnych rzeczach. Raz był niezdrów, co dla Ojca było zawsze najcięższym krzyżem; a szczególnie nie lubił w łóżku leżeć. Ówczesny infirmier X. Stefan Pawlicki polecił mu by się położył i na drugi dzień nie wstawał, dopóki on sam do niego nie przyjdzie. Ponieważ według przepisów domowych, w razie słabości, każdy winien posłuszeństwo infirmierowi, Ojciec nie powiedział ani słowa i poszedł do łóżka; ale nazajutrz infirmier o chorym zupełnie zapomniał i dopiero po mszy swojej i śniadaniu wśród roboty, przypomniał sobie nagle. Wstaje więc i biegnie, i zastaje Ojca w łóżku, choć zupełnie już zdrowego. Oczywiście burza i to ostra infirmiera nie minęła.

Jedną z charakterystycznych własności Ojca Hieronima była miłość dusz. Czulo się, że gdy kochał kogo, że duszą jego kochał, i że cokolwiek robił, w tym celu robił, by duszę Bogu pozyskać.

Nikim nie gardził, a zarówno mu byli klerycy jak i braciszczowie mili. „Braciszczowie włoscy, mówi tylko co przytoczony świadek, którzy przez lat kilka mieszkali na winnicy i tam pracowali, mówili mi, że gdy O. Hieronim był z nimi, często cały dzień wspólnie pracował, kopiąc lub sadząc, a przy wspólnym obiedzie potrawy im rozdzielał i chleb krajał, „jako jeden z nich”, i zawsze miał im coś serdecznego i budującego do powiedzenia, tak, że i robota i postęp duchowy szły szybko w parze. A gdy mieszkał w Rzymie, a oni przez czas jakiś nie mieli księdza, co sobota przychodził regularnie piechotą, choćby w największy deszcz i słotę, by ich wyspowiadać (a winnica „Camiluccia” należąca do Zgromadzenia leżała za „Ponte Mole”). Sami ci braciszczowie przyznawali, że dużo było z nimi trudności i że je tylko niezmierną cierpliwością przewyciężał, że zresztą gorąca miłość i cześć jaką mieli dla Ojca, głównie im wszystko ułatwiała”.

Na krótko przed śmiercią, w pierwszych dniach karnawału, wyjechał X. Kajsiewicz, wzięwszy z sobą Br. Skrochowskiego jako sekretarza i brata Kazimierza Hempla, do Albano, by tam spędzić tydzień i wykończyć pracę w Bułgarii, bo w Rzymie nie miał nigdy chwili swobodnej. Tam często po całych godzinach bez utrudzenia dyktował. W wolnych chwilach słuchał z zajęciem obszernego żywota Św. Pauli, który czytać sobie kazał, bo wzrok jego od dawna już znacznie osłabł. „W poniedziałek zapustny – pisze br. Skrochowski – przyjechał do Albano, dla odwiedzenia X. Kajsiewicza, zapowiedziany wigilią hr. Baleström, poseł ze Śląska na Sejm Pruski, gorliwy katolik, u Jezuitów niegdyś we Lwowie wychowany i stąd zbliżony do Polaków; towarzyszył mu jeden kapłan niemiecki (X. Klemens Niemann) i zgoła dnia tego niespodziewany tam, X. Semenenko. Goście weszli, O. Hieronim wybiegł naprzeciw O. Piotra i uściskali się obaj tak serdecznie, tak długo, jak gdyby w tej chwili zapomnieli o innych obecnych, a szczegól ten malujący wielką ich miłość wzajemną, tym bardziej wyrzył się w pamięci przytomnych, iż pominięcie tak dostojnego gościa jak hr.

Baleström, który przez ten czas stał na boku, czekając na przywitanie, wydało im się wtedy prawie niegrzecznością. Dzień cały zeszedł wesoło na ożywionej rozmowie, zwiedzaniu pięknych okolic i wycieczce do Genzano nad jeziorem Nemi. X. Kajsiewicz czuł się zupełnie dobrze. Nazajutrz, jako w ostatni dzień pobytu w Albano, chciał dyktowania dokończyć, i parę razy brał się do tego, ale mu nie szło; powiedział w końcu, że w tej chwili nie może i że w Rzymie pracy dokończy. Prosił o czytanie żywotu Ś. Pauli”.

We Środę Popielcową – dnia 26 lutego 1873 – po Mszy Św. I śniadaniu wyjechał z towarzyszami swymi z Albano. Przez całą drogę modlił się (jechało się wtedy w powozie – kolei jeszcze nie było) a za przybyciem do Rzymu, zaprowadził towarzyszków do zakrystii, gdzie siebie i ich popiołem posypał.

Po rekreacji poobiedniej – o godzinie w pół do drugiej miał konferencję do zebranych zakonników. Mówił o śmierci – o gotowości na nią „Kto wie czy wszyscy Zmartwychwstania Pańskiego się doczekamy”, były jego słowa. Potem poszedł do S. Nicola in Arcione, na Via Rasella, gdzie była szkoła prowadzona przez Zakonnice Krwi Przenajświętszej. Spoiwadał zwykle Siostrę Rozynę de Sanctis. Było to po godzinie 3-iej. Ona właśnie z domu wychodziła prowadząc uczennice na spacer. Nie spowiadał więc jej, odłożywszy na inny raz, a powiedział jej tylko by się modliła „by się on stał zupełnie Pana Jezusowym, i wyzuł się zupełnie z siebie przez te krótkie chwile, które mu zostają na świecie”.

Stamtąd poszedł na Via Salara Vecchia, do Kolegium polskiego, do X. Semenki. X. Semenki w domu natenczas nie było, więc czekał na niego. Około godziny 5-iej dopiero powrócił X. Semenka. Dał mu X. Kajsiewicz kilka listów do odczytania, potem rozmawiali o sprawach Zgromadzenia. W końcu prosił o spowiedź. Po spowiedzi rzekł: „Muszę naradzić się z Wami, co mam czynić z moim zdrowiem; czuję pewne osłabienie, a oddech od pewnego czasu staje się u mnie coraz krótszym. Czy mam tedy przedsięwziąć kurację, czy wszystkiego zaniechawszy zdać się na Wolę Bożą?”

A w sposobie jakim to mówił, wyraźnie przebijało, że to ostatnie było gruntem jego myśli. Ogromnie bo nie lubił się leczyć. X. Semenka odrzekł mu, że się o tem pomyśli. Potem X. Semenka przed nim się wypowiedział, jak to zwykle czynili.

Wstawszy od spowiedzi X. Kajsiewicz jeszcze chwil kilka zatrzymał się stojący. „ja z nim – pisze X. Semenka w liście swoim do wszystkich domów – przeszedłem do pierwszego pokoju i chwilę znowu rozmawialiśmy. Objąłem go z pewną czułością i powiedziałem, że od dawna i coraz bardziej modlę się za niego, a zarazem od pewnego czasu, więcej niż dawniej, za O. Juliana (Felińskiego). I on mi na to serdecznie odpowiedział, że się modli, i także dodał, że się bardzo modli za O. Juliana. Uściśnięliśmy się znowu na pożegnanie i ja go zacząłem odprowadzać przez korytarz. W połowie tegoż on się do mnie obrócił i rzekł: Co robisz? Odprowadzasz? Wróć się do stacji! – Zwykle nie pozwalał, aby go odprowadzać. To było ostatnie jego słowo. Wracając do stacji, zaszedłem do kaplicy i tam się chwilę pomodliłem. Wychodząc, spojrzałem na zegar: było 10 minut do szóstej”.

X. Kajsiewicz wracając do domu, już na Piazza dei duodeci Apostoli poczuł się źle i usiadł; potem jakiś chłopiec z kawiarni część drogi go prowadził. Kiedy przyszedł do Fontana Trevi i zwracał się ku Piazza Poli, bardzo już blisko domu, całkiem go siły opuściły i zsunął się na ziemię oparłszy się o słup kamienny. To upadnięcie miało miejsce niedaleko apteki, położonej na przeciwko fontanny Trevi, w której właśnie znajdował się lekarz. Na

wołanie ludzi, przybiegł zaraz do X. Kajsiewicza, a obejrzawszy powiedział, że już niema nic do czynienia. Atak apoplektyczny go zabił. Znaleźli się zaraz ludzie uczynni, którzy nim się zajęli, dowiedziawszy się kto on taki, zanieśli do klasztoru Ś. Klaudiusza.

Między innymi przypadkiem przechodził tamtędy kleryk Pitas (późniejszy proboszcz polski w Buffolo w Ameryce). Widział zbiorowisko ludzi, powiedziano mu, że padł *un prete polacco*, poznał X. Kajsiewicza (bo ubogim będąc dostawał u Ś. Klaudiusza obiady), i razem z innymi zaniósł go do Klasztoru.

Tam położono go w najbliższej stancji na łóżku, już całkiem nieprzytomnego, ale oddychającego jeszcze ciężko i pieniacego z ust. Był obecny X. Feliński, posłał po oleje Świąte, dał rozgrzeszenie i rozpiął sutannę, aby ulżyć oddech, ale w tem oddech zaczął słabnąć, a wkrótce całkiem ustał. Umarł śmiercią nagłą, ale nie niespodziewaną – w sam dzień Popielca, tego samego więc dnia, w którym przed blisko 40 laty zawiązało się Zgromadzenie w Paryżu przy Bogdanie Jańskim.

Było około kwadrans na siódmą, kiedy X. Kajsiewicz ducha P. Bogu oddał.

Śmierć ta nagła, niespodziewana dla wszystkich (choć nie dla nieboszczyka) wywołała ogólne współczucie. „Ojciec Św. – pisze X. Semenenko w dzienniku swoim pod dniem 27 lutego – okazuje nam wielkie współczucie z powodu tej śmierci. Prosiłem bowiem Mgra Czackiego, żeby mu o niej zaraz dziś z rana powiedział. Dodał tenże, że i całe otoczenie Ojca Św. tę stratę uczuło”.

W liście do X. Przewłockiego pisze X. Semenenko: „Mgr. Czacki odniósł mi, iż ani się spodziewał by Ojciec Św. tyle to uczuł. Przez dwa dni Ojciec Św. wracał do tego w rozmowach z osobami go otaczającymi. Przysłał nam błogosławieństwo”.

Pod dniem 28 lutego X. Semenenko zapisuje: „Żałobne nabożeństwo. Śpiewałem Mszę Św. Po południu odprowadzenie zwłok na cmentarz, w którym brali udział Księżna Odescalchi i Oskarowie Tyszkiewiczowie”.

W kraju żałobnem echem rozbrzmiała wiadomość o śmierci X. Kajsiewicza. „Piszę – odzywa się Koźmian (28 lutego) – pod pierwszym wrażeniem ciężkiej straty jaką podobało się Bogu wszystkim nam zesłać. Grom to nagły, niespodziewany. Zdawało mi się zrazu, że to niepodobna. Tu wszystkich, którzy znali O. Hieronima przeraził telegram przynoszący fatalną nowinę. Rok właśnie temu matka mu umarła, a on tak prędko za nią poszedł”.

I w dwa tygodnie potem znowu wraca do śmierci X. Kajsiewicza (11 marca): „Nie mogę się otrząsnąć – pisze – z wrażenia tej niespodzianej straty. Jest to cios z którym się oswoić niepodobna. Niech Bóg miłosierny wszystkich Was pociesza i wzmacnia”.

Nie mniej uczuł tę stratę X. Albin Dunajewski. Pisze aż w miesiąc po śmierci X. Kajsiewicza (28 marca): „Nie mogłem się zebrać do pisania nie z powodu zajęcia, ale po stracie jakąśmy ponieśli i nie umię pisać i nie mogę się zdobyć, aby się odezwać do Was. Uderzyła mię wiadomość o śmierci O. Hieronima głęboko w duszę i ciosu tego z serca wydobyć nie umię. Przez czas pobytu O. Waleriana (Kalinki) jeszcze pomagałem sobie rozmową z nim, ale gdy odjechał pozostałem sam z sobą i ta boleść nieraz napada w chwilach samotności tak silnie, że uciekać muszę do modlitwy, aby nie upaść na duchu! Zdaje mi się, jakoby coś z życia mego wyrwane, co było koniecznem dla dalszego biegu jego; a tęsknota najmocniej się odzywa nieraz w czasie sprawowania ofiary najświętszej, tęsknota wprawdzie

nie przygniatająca, ale dziwnie odrywająca od wszystkiego, w czasie której jakbym słyszał upomnienie przyjąc za moje słowa ś.p. Ojca: „Wola Boża”. Smutno bez O. Hieronima”.

Te słowa: *Wola Boża* były bowiem dewizą X. Kajsiewicza. Umieszczał on je na czele każdego listu swojego. „Z dwóch dębów – pisze X. Łobos do X. Semenki (3 marca) – zrosłych całą duszą, niezwykłymi kolejami życia, wiarą, nadzieją, miłością, zakonem, niedostatkiem, pracami nad miarę, kielichem goryczy, z pary wołów roboczych na roli Bożej, z dwóch świeczników, z dwojga gron winnych, które wydała Ojczyzna nasza w srogim wieku na świadectwo swojej miłości ku Bogu, z dwóch Lewitów, którzy nieraz podtrzymywali ręce Ojca Świętego Piusa IX w modlitwie za Polską ku Niebu wyciągnięte, wziął Pan Jednego, zawołał: Pójdź słuگو wierny i dobry, pójdź mój ukochany Hieronimie, coś jak Paweł roznosił imię moje po rynkach nowożytnych pogan, po morzach i wyspach, coś listami i kazaniami zapalał do miłości, pójdź do przybytków niebieskich, a któryś w pokorze służył wiek cały, posiadź teraz Królestwo mojego Ojca. Ach mój drogi! jakże ja czuję osierocenie Twoje. Nie mogę się od łez wstrzymać i chociaż wiarą żywą widzę Go w Niebie, jednak myśl, że go już tu nie ujrzę, wyciska mi łzy obfite”.

Trafnie i pięknie pisał Hr. Tarnowski, że „Kajsiewicz wiosłował, a Semenka siedział u steru, patrzył w niebo i gwiazdy, i nieraz drogę wskazywał”. („Przegląd Polski” Tom 82, str. 620)

Zabrakło odtąd w Zgromadzeniu, ktoby wiosłował według wskazówek X. Semenki. Czuli to wszyscy. „On poszedł po nagrodę prac swoich – pisał X. Feliński – ale nam pozostałym bardzo smutno. Takiśmy słabi wszyscy, tak niewyrobieni, a bez Ojca! Trzeba ufać, że Bóg da O. Piotrowi łaskę potrzebną do dalszego prowadzenia tego dzieła, jak mu dał niewątpliwie łaskę zrozumienia jego. Zresztą Bóg zrobi co zechce; wszak to Jego sprawa!”